

Walka klas

30 grudnia 2015

W Polsce jeszcze długo nic się nie zmieni, jeśli nie uwierzymy, że zarówno bieda, jak i dobrobyt mają charakter systemowy. Nie są zasłużone.

Niedawno ze zdziwieniem usłyszałem jak moja córka, ośmioletnia Karolina, ćwicząc, liczy w dziwnym języku. Wyjaśniła mi, że to koreański i że nauczyła się liczyć w tym języku na zajęciach pozalekcyjnych z Taekwondo. Przy okazji dowiedziałem się, że chodzi jeszcze na: rosyjski, francuski, taniec hinduski, szachy i gitarę. Wszystkie te zajęcia są bezpłatne i bardzo atrakcyjne. Szkoła mieści się w warszawskim Śródmieściu. Małgosia, która wraz z rodzicami mieszka u nas już od trzech lat, ma lat 11 i chodzi do podstawówki na Pradze Północ. Jej mama Natalia musiała przestać ją posyłać na pozalekcyjne zajęcia taneczne, bo nie miała pieniędzy na ich opłacenie.

Większość rodziców dzieci ze szkoły mojej córki to ludzie sprawiający wrażenie zamożnych. Zauważyłem to, kiedy nasze dzieci wyjeżdżały na wycieczkę. Była to piękna scena. Wszyscy, dzieci i rodzice cali w uśmiechach, domyci, ubrani elegancko, jak z jakiegoś amerykańskiego filmu o życiu klasy średniej. Kiedy autokar z dziećmi odjechał, powiadali do swoich niezbyt wysłużonych i czystych aut. Ich dzieciom miasto stołeczne Warszawa zapewnia bezpłatne zajęcia dodatkowe. Dzieciom na Pradze, gdzie spodziewany czas życia mężczyzny jest o 16 lat niższy niż w dzielnicy Wilanów – nie.

Warszawa: stolica kraju, z którego młodzi uciekają, bo tu nie mają perspektyw na pracę, godziwą płacę, założenie rodziny, normalne życie bez zajęć komorniczych i pożyczek zaciąganych przed pierwszym u Providenta. Tu sąsiadują ze sobą dwa światy. Świat zadowolonych z siebie, sytych mieszczan, którzy nadmiar energii i tkanki tłuszczowej spalają w weekendy na rowerach, rolkach i joggingu. oraz świat ludzi, którzy tej elicie

usługują, pracując w weekend na kasie w supermarkecie, serwując burgery, stojąc za kilka złotych w ochronie na straży dobytku i spokojnego snu klasy średniej.

Według statystyk tych zadowolonych, jeżdżących co roku na urlopy, posiadających lokaty, nie zaś długi – jest ze 20 procent. To przedstawiciele dobrze płatnych zawodów. Prawnicy, informatycy, menedżerowie, finansiści, urzędnicy wyższego szczebla, przedsiębiorcy i politycy. Oni akceptują panujący system bez zastrzeżeń. W kawiarni, gdzie podawano latte za 15 złotych, poprosiłem dwóch młodych ludzi o podpisanie petycji o cofnięcie podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej. Odmówili. Dla nich ta podwyżka to gwarancja lepszej jakości usług. I mają w nosie, że cena biletu to dla wielu mieszkańców Warszawy równowartość godziny pracy. W końcu „jak kogoś nie stać na bilet, to niech chodzi piechotą”, jak powiedział rzecznik warszawskiej komunikacji miejskiej, kiedy protestowaliśmy przeciwko zamknięciu na 15 dni w więzieniu dziewczyny, która trzy razy pojechała na gapę i nie zapłaciła mandatów.

Na drugim biegunie jest 20 procent rodzin, które pożyczają u lichwiarzy na bieżące potrzeby życiowe. Jeżeli ci z górnego kwintyla (najzamożniejszych 20 procent) biorą kredyt na mieszkanie, państwo do niego dopłaca. Pieniądze na tę dopłatę biorą się między innymi z podatków pobieranych od tych, którzy są zmuszeni pożyczać na życie na lichwiarski procent, bo nie mają „bankowej zdolności kredytowej”. Dlaczego? Bo kwota wolna od podatku jest najniższa w Europie i opodatkowuje się u nas dochody na poziomie minimum egzystencji. Po co? Po to, żeby subsydiować zamożnych. Mamy więc unikalny system, który zamiast subsydiować ubogich pieniędzmi pobranymi od zamożnych, subsydiuje klasę średnią z pieniędzy biedaków.

Karolcia przewraca się na podwórku i uderza głową o asfalt. Pędzimy do szpitala dziecięcego na Niekłańską. Dziecko wymiotuje. Jest podejrzenie wstrząsu mózgu. Przed izbą przyjęć ponad stuosobowa kolejka. Obok wejście, gdzie za pieniądze

dzieci przyjmuje się od razu. Nie mamy pieniędzy, ale pomagamy znajomy lekarz. Gdyby to było coś poważniejszego, pożyczylibyśmy w chwilówce, albo odchodząc od zmysłów z niepokoju stalibyśmy wiele godzin w kolejce, czekając na przyjęcie przez lekarza, który wobec tego zalewu potrzebujących poświęciłby naszej córce zaledwie kilka minut. Bezpłatna służba zdrowia powoli staje się fikcją. Leczą się ci, których stać.

Wiele zresztą korporacji zapewnia pracownikom wykonującym pracę wymagającą wysokich kwalifikacji pakiet socjalny i medyczny, które dodatkowo zwiększają poczucie bezpieczeństwa, a nawet bez troski. W tym systemie, w którym nierówność jest zasadą nadrzędną, im kto lepiej się ma, tym więcej może się spodziewać udogodnień. Im lepszy, bogatszy klient, tym większe otrzymuje zniżki. Im więcej zarabia, tym łatwiej mu unikać podatków. A w saloniku VIP-owskim na lotnisku Okęcie alkohole i wykwinne potrawy są za darmo. Taki komunizm dla wybranych. Tych, którzy latają pierwszą klasą. Ci z klasy turystycznej przepłacają w absurdalnie drogich barach i restauracjach na tym samym lotnisku.

Spór o to, czy bieda jednych i dobrobyt drugich są zasłużone – to spór czysto klasowy. Uprzywilejowani przez system mają zdecydowanie większy wpływ na przekaz medialny i proces edukacji, niż ci, którzy w pocie czoła, za żenująco niskie wynagrodzenie, w wydłużonym czasie pracy budują polski kapitalizm. Dominuje więc teoria, że sukces to wynik zasług, starań i kompetencji tych, którzy znajdują się na górze drabiny społecznej. A niepowodzenia, bieda, wykluczenie społeczne – to patologie zawinione w przeważającej mierze przez osoby tymi zjawiskami dotknięte.

Niestety pogląd, że przyczyny niedostatku mają charakter subiektywny (zawiniony), a nie obiektywny (systemowy) jest również rozpowszechniony wśród osób dotkniętych wykluczeniem i nim zagrożonych. To sprawia, że nie wykształciła się u nas formacja lewicowa z prawdziwego zdarzenia. Niechęć do państwa

jako aparatu opresji fiskalnej tworzy pozorną zbieżność między biednymi i bogatymi – mimo że przecież to państwo realizuje interesy elit kosztem interesów niezamożnej większości społeczeństwa. Póki biedacy będą „śpiewać w jednym chórze z milionerami” krwiożerczy kapitalizm i bezprzykładny wyzysk pozostaną niezagrożone.

Jednak próba budowania barykady klasowej między światem strzeżonych osiedli i przywilejów, a światem umów śmieciowych i pracujących biedaków, którzy harują między innymi w ochronie tych oaz dobrobytu, napotyka na opór nawet ze strony lewicującego drobnomieszczaństwa. Nie lubią „epatowania biedą”, bo to nie przysparza zwolenników. A w polityczne zorganizowanie spauperyzowanych mas po prostu nie wierzą.

Z drugiej strony – atak na system, który jednym tworzy błogostan i dobrobyt, a drugim piekło na ziemi, zbyt łatwo odbiera się jako wezwanie do wojny klasowej biednych z bogatymi. Jako potępienie dla ludzi sukcesu, którzy przecież wiele dobrego wnoszą, są motorem postępu, itd. Oskarżyciele współczesnego polskiego kapitalizmu obwiniani są o idealizację ubogich i demonizowanie bogatych ludzi sukcesu.

Niechęć do bogatych to w Polsce zjawisko dość powszechne. Jest ono zakorzenione jeszcze w Polsce Ludowej i jej egalitarystycznej ideologii, ale także w praktyce ostatnich 25 lat, kiedy to do majątku zbyt często dochodziło się, nie kładąc żadnych zasług dla dobra wspólnego. Często zaś wręcz przeciwnie: kosztem dobra ogółu. Kiedy Ryszard Kalisz, jeden z najpopularniejszych i najbardziej lubianych polityków w kraju, poskarżył się, że pensja poselska jest zbyt niska, przekreślił tym swą dalszą polityczną karierę. Jednak ten „ludowy egalitaryzm” zwraca się raczej przeciw osobom, niż przeciw systemowi. Jest więc zupełnie niegroźny dla beneficjentów panującego ustroju. Gniew kieruje się przeciw rządowi, konkretnej partii czy instytucji, a nie porządkowi społecznemu, który umożliwia komuś, kogo zwolniono za niekompetencję, otrzymać pół miliona odprawy.

System, w którym ludzie za coraz cięższą i wydajniejszą pracę dostają coraz mniej pieniędzy, jest nie tylko niesprawiedliwy, ale i nieracjonalny. To, co do niedawna dotyczyło jedynie najsłabszych, uderza dziś w ludzi, którzy wyobrażali sobie, że są klasą średnią o ustabilizowanej pozycji społecznej. Dlatego sojuszników w walce o zmianę systemu należy szukać także w gronie „ludzi sukcesu”. Ostrze krytyki powinniśmy kierować nie przeciwko osobom, lecz mechanizmom, które sprawiają, że coraz większe bogactwo skupia się w rękach topniejącej garstki uprzywilejowanych, podczas gdy poziom życia większości społeczeństwa obniża się mimo wzrostu dochodu narodowego.

Żeby dokonać prawdziwych zmian systemowych, trzeba doprowadzić do zmiany mentalności. A to jest niemożliwe, jeżeli na stronę przemiany społecznej nie przejdą poeci, nauczyciele, dziennikarze. Artyści i ludzie nauki. Lud, żeby się zbuntować i to zbuntować mądrze, potrzebuje inteligencji. A inteligencja potrzebuje tego buntu, żeby się nie dać do reszty spauperyzować.

Autorstwo: Piotr Ikonowicz

Źródło: Strajk.eu